

Burzyńska Małgorzata

Ależ wierzę, wierzę

Z „*Science Fiction*” nr 21 – grudzień 2002

Jestem bardzo złym pasażerem. Nie potrafię usiedzieć w ciasnej kabinie, chodzę po kątach i zadaję mnóstwo irytujących pytań pilotowi. W czasie dwugodzinnego lotu kilka razy byłem w łazience, aby gorącą wodą przywrócić normalne krążenie w zimnych i spoconych dłoniach. Zbliżaliśmy się do strefy B. Wyrzałem przez okno, walcząc z mdłościami spowodowanymi, mam nadzieję, chorobą lokomocyjną, a nie strachem. Tym razem w strefie nie było nic widać. Znow zrobiło mi się słabo. Samolot skręcał, aby ominąć obszar chroniony. Przyjrzałem się zgromadzonym wokół strefy ludziom. Grupki młodzieży kołysały się w rytmie tam-tamów, mówcy, jak przypuszczam przywódcy sekt religijnych, zawzięcie gestykulowali, tu i ówdzie wędrowali w kółko protestujący, uzbrojeni w transparenty o treści tak głupiej, że szkoda powtarzać. Sięgnąłem do teczki po papiery, ale po namyśle odłożyłem ją, żeby nie zostawić na eleganckim papierze plam z potu. Zostałem zakwalifikowany do wąskiej grupy, która ma przejść końcowe eliminacje - wyłoniona osoba weźmie udział w wyprawie badawczej zjawisk zachodzących w strefie B. Pierwszy raz w mojej karierze zawodowej miałem szczęście. Początkowo byłem zdaje się czwarty, czy piąty, na liście kandydatów z mojej dziedziny. Niespodziewanie, już po obsadzeniu miejsca, wszyscy moi poprzednicy kolejno rezygnowali. Pewnie dlatego, że poprzednia ekspedycja zaginęła. No cóż, postęp w nauce wymaga ofiar. Wyprawa miała wyruszyć za trzy dni, następnych chętnych wezwano pośpiesznie na dodatkowe eliminacje. Wiozłem dokumentację mojej pracy naukowej związanej z zastosowaniem laserów organicznych, mocno oceniany przebieg pracy zawodowej, badania lekarskie. Dziś, najpóźniej jutro, powinienem otrzymać odpowiedź, przypuszczam, że nie będą zwlekać.

Przeprowadzenie badań w strefie B konsultowano z organizacjami religijnymi, mniejszościami narodowymi, stowarzyszeniami pamięci. Mimo to pojawiały się w mediach głosy protestu przeciwko badaniu zjawisk, wystosowano nawet dramatyczny list otwarty do papieża. Przypuszczałem, że wyprawa badawcza ruszy bezzwłocznie i oczywiście, że zostanę jej członkiem.

Wylądowaliśmy na dachu mojego hotelu. Szybko wykapałem się i rozpakowałem. Większość bagażu stanowiły, przyznaję, jak zwykle moje laserowe zabawki. Rozmieściłem projektory i układy sterowania w najwygodniejszych miejscach. Łóżko ustawiłem bliżej okna, prawie na środku, i zamontowałem pod nim projektor do pasm niewidzialnych. Może jestem dziecinny, a może mam szczęście, że moja największa pasja jest jednocześnie moją pracą, nie odwrotnie. Zaciemniłem okna i puściłem na dobry początek animację Myszki Miki. Na wieczór przygotowałem sobie nocne niebo, a później sekwencję, którą nazywam „Vivat Las Vegas”. Wszystko, co tylko da się wyobrazić za pomocą światła, aby stworzyć obraz rozedrganego, szalonego miasta nocą.

Z plikiem dokumentów pod pachą udałem się do ministerstwa. Wszedłem do pierwszego pokoju w długim korytarzu. W środku urzędował starszy, przystojny mężczyzna z siwiejącym wąsem. Nie wyglądał na urzędnika, raczej na kapitana statku. Rozmawiał z ładną brunetką o bladej cerze i ogromnych, zdziwionych oczach strusia. Na mój widok dziewczyna wstała i wyszła bez słowa. Podałem mężczyźnie dokumenty.

- Laboratorium działu badawczo-rozwojowego Lucent Technologies. Czyli lasery, o ile się orientuję. Pan do tej wyprawy badawczej? - spytał. Miał miękki, modulowany głos i piękny, staroświecki akcent. Trochę uwodzicielski, a trochę sztuczny, jak aktor trzeciorzędnego serialu.

- Tak jest.

Oddał mi dokumenty.

- To tutaj, dziękuję panu, myślę, że otrzyma pan odpowiedź szybko. Ekipa jest w komplecie, brakuje tylko osoby na to właśnie stanowisko. Życzę powodzenia, zazdroszczę panu, choćby ze względu na lot sterowcem...

Podziękowałem mu i wypadłem na korytarz. Jeszcze zdążyłem zauważyć, do którego pokoju weszła ta wysoka dziewczyna. Sprawdziłem na wywieszce, że piękność nosi egzotyczne imię: Sonia i pracuje do osiemnastej.

* * *

Miałem jeszcze dwie godziny, więc wstąpiłem do sąsiadującej z ministerstwem kawiarni. Usiadłem w kącie, złożyłem zamówienie i jak w każdym lokalu, obserwowałem skutki upowszechnienia mojego pierwszego w życiu patentu, iluzjonu. Wynalazku dokonałem przypadkowo, pracując już wówczas w zespole opracowującym nowe metody maskowania ruchomych obiektów strategicznych.

Urządzenie składało się z kieszonkowych rozmiarów projektora laserowego oraz pojemnika, w którym znajdowała się sprężona mgiełka mimikroniczna. Laserowym wskaźnikiem obrysowywało się obiekt, po czym należało nakierować zbiorniczek i nacisnąć substancję w sprayu. Zawiesina składała się z cząstek o ciężarze zbliżonym do ciężaru powietrza. Mgiełka wypełniała dokładnie zakreśloną wcześniej laserem przestrzeń, po czym cząsteczki od strony obserwatora przybierały kolor tła zasłanianego obiektu, zaś od strony tego obiektu, zasłona pozostawała przezroczysta. Dzięki temu, jeśli operacja została wykonana dyskretnie, zasłaniany człowiek mógł nawet nie zorientować się, że ktoś wykreślił go z krajobrazu. Cząsteczki dostosowywały się do zmiany tła z szybkością kilkudziesięciu metrów na sekundę, czyli doskonale maskowały nawet bardzo szybko poruszające się objekty. W wersji najbardziej rozpowszechnionej, po pół godzinie mgła rozwiewała się. Wynalazek zrobił furorę, a zyski ze sprzedaży zasilily kasę mojego instytutu.

Jednego nie przewidziałem, że mój wynalazek będzie ułatwiał popełnianie samobójstw. Postępowania wykazały, że nieszczęśnik czekał przy torach kolejowych lub autostradzie, maskował rozpędzony samochód lub pociąg, po czym w ostatniej chwili popełniał samobójczy krok. Ilość nieszczęśliwych wypadków była tak wielka, że produkt wycofano z rynku. Oczywiście, jedynym, który na tym stracił, był nasz instytut, iluzjony natychmiast pojawiły się na czarnym rynku. A ja zostałem nauczycielem przyrody w szkole podstawowej.

Przyglądałem się kelnerce, która mnie obsługiwała. Biedaczka, zupełnie nie nadawała się do tej roboty. Nosiła po jednej rzeczy, często myliła zamówienia. Nie należę do osób, które kłóca, się w sklepie czy w restauracji. Kiedyś kupiłem spodnie sięgające mi do połowy łydek, tylko dlatego, że nie chciałem sprawić przykrości obsługującej mnie dziewczynie. Jadłem z obrzydzeniem nie zamówione pieczywo czosnkowe. Ruda kelnerka stała z opuszczoną głową nad starszym gościem i pokornie wysłuchiwała ostrej reprymendy. Wsunęła rękę do kieszeni, dyskretnie wyjęła z fartuszka iluzjon i zasłoniła krewkiego pana. Odetchnęła z ulgą. Sam głos, chociaż podniesiony, nie był już taki groźny, mogła sobie wyobrazić, że słucha radia. Rozejrzałem się. Lokal wyglądał jak scena japońskiego teatru No. Z tym, że jedna połowa aktorów grała gestem, druga głosem. W ciągu godziny co najmniej kilkanaście osób użyło iluzjonu. Większość zasłoniętych osób wiedziała, że rozmówca pozbył się ich widoku. Kelnerki przechodziły obok gości jak duchy, nie patrząc i nie widząc, jakiś mężczyzna słuchał żony z uśmiechem Buddy i wzrokiem zawieszonym nad jej głową. Kobieta starała się mówić normalnie, choć doskonale wiedziała, że mąż usunął ją sprzed swoich oczu. Widziałem jak twarz skrzywiła jej się od powstrzymywania łez.

Tuż przed osiemnastą wyszedłem i zatrzymałem się przy wyjściu z ministerstwa. Jednym z opuszczających biurowiec okazał się mój pierwszy rozmówca, Alfred, jak zapamiętałem z wizytówki. Pół godziny później zauważyłem Sonię. Nie było to ani mądre, ani uczciwe, ale poszedłem za nią. Idąc, w delikatny sposób unosiła ramiona i przechylała głowę, jakby chciała wtulić się w kołnierz płaszcza. Zeszła do metra, przejechała kilkanaście stacji, wysiadła w przyjemnej, zielonej okolicy. Musiałem bardzo uważać, bo, jak zauważyłem, wszystko robiła znienacka, stała zamyślona, nagle wyskakiwała ostatnia z wagonika, jakby bez przerwy zapadała w sen i budziła się w ostatniej chwili przed wykonaniem właściwego ruchu. Weszła na teren strzeżonego osiedla. Wszedłem tuż za nią, liczyłem, że nie zauważy mnie, a ochroniarze pomyślą, że jesteśmy razem. Nie przeliczyłem się. Skręciłem w boczną alejkę, na szczęście żywopłoty były nisko przystrzyżone, więc bez trudu mogłem ją śledzić. Osiedle nie było, zdaje się, zbyt luksusowe, tyle tylko, że nowe i schludne, zabudowane niewielkimi, dwukondygnacyjnymi budynkami z dużymi balkonami. Zaobserwowałem, do którego domu weszła. Poszukałem wzrokiem jej nazwiska na tablicy z przyciskami domofonu. Zagwizdałem

cichutko przez zęby. Nie było jej nazwiska, za to na parterze mieszkał on, nasz stary kapitan, który zazdrościł mi lotu sterowcem.

Po kilku godzinach czekania wspiałem się na jego balkon. Drzwi były uchylone, ale zasłonięte cienką zasłoną. Siedzieli w fotelach, blisko siebie, rozmawiali. Wydawało mi się, że Sonia nie czuła się tam dobrze, co jakiś czas rozglądała się nerwowo, splatała i rozplatała dłonie.

- Nie jestem dzieckiem. Znam siebie i swoje uczucia, dlaczego decydujesz za mnie co jest dla mnie dobre, a co nie? Kocham ciebie i tylko ciebie, wiem ile masz lat i nie przeszkadza mi to. Czy jedynym warunkiem udanego związku jest zgodność lat?

Sonia gwałtownie zerwała się z fotela i podeszła do okna. Struchlałem. Na szczęście, jak to miała we zwyczaju, zatrzymała się nagle, o pół kroku ode mnie, i odwróciła się na pięcie. Odetchnąłem.

- Soniu, dziecko - Alfred był zmieszany, ale nie wytrącony z równowagi. - Jak ja będę wyglądał za dziesięć lat, a jak ty? Jestem trzydzieści lat starszy od ciebie.

Uklękła przed nim i przysiadła wdzięcznie na tydkach. Ujęła go za rękę i położyła mu głowę na kolanach. Alfred głąskał japo włosach.

- Nie szkoda ci siebie dla mnie? - zapytał. Zerwała się. Rozejrzała się po pokoju. Zdjęła ze ściany ozdobny nóż myśliwski i dwa razy mocno przeciągnęła nim po dłoni. Krew trysnęła na dywan. Alfred podbiegł do niej przestraszony. Wyjął chusteczkę i przyłożył ją do krwawiącej dłoni. Sonia patrzyła na niego namiętnie, blada i rozedrgana.

- Wierysz mi wreszcie? - spytała.

- Ależ wierzę, wierzę - odpowiedział niespokojnie.

- I kochasz mnie?

- Kocham.

Ktoś szedł ulicą w kierunku domu. Mogłem zeskoczyć z balkonu, ale wtedy prawie na pewno nadchodzący zauważyłby mnie i wszczął alarm. Mogłem spróbować zachowywać się naturalnie, oprzeć się nonszalancko o balustradę, na pewno powinienem przestać kulić się z głową przy niedomkniętych drzwiach, ale wtedy z kolei bardzo prawdopodobne, że zauważyliby mnie od wewnątrz. Jeszcze nigdy nie byłem w tak żenującej sytuacji. Westchnąłem i wśliznąłem się do pokoju za kotarę. Żeby tylko Sonia mnie nie zauważyła! Z dziadem to już nawet mogę się pobić. Przywarłem do ściany, na szczęście stary miał wąziutki parapet, prawie nie wystający z framugi okna.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Alfred

- Tak, bardzo dobrze - płakała.

- Może chcesz wyjść na balkon? Na szczęście nie chciała. Nie usłyszałem, co później powiedział, w każdym razie wyszli z pokoju. Odczekałem chwilę, wreszcie postanowiłem wycofać się z powrotem na balkon. Alfred wszedł do pokoju i mocno rozjaśnił światło. Pewnym krokiem podszedł do okna. Rozsunął kotary kiedy zeskakiwałem.

Chłodne powietrze studziło mi rozpaloną twarz. Puściłem się biegiem w kierunku metra. Wskoczyłem do ostatniego wagonika. Rozglądałem się w nadziei, że ją znajdę, niestety, nie było jej. Na stacji przesiadłem się do wcześniejszego, na kolejnej stacji jeszcze raz. Nie miałem pewności, czy jest w tym pociągu i na której stacji wysiądzie, miałem jednak szczęście. Siedziała w pierwszym wagonie, zabandażowaną dłoń opierała na temblaku z kaszmirowego szala, którego wcześniej u niej nie widziałem, pewnie z zasobów starego, po byłej żonie, albo pamiątka z podróży. Podszedłem do niej, uśmiechając się szeroko.

- Dobry wieczór, pani, nie poznaje mnie pani? Składałem u pani dzisiaj dokumenty.

- Nie u mnie tylko u kolegi - odburknęła. Przy najbliższej stacji swoim zwyczajem zerwała się i wyskoczyła z wagonu. Ledwie za nią zdążyłem.

- Wraca pani do domu?

Milczała.

- Kompletnie nie mam co robić, pani zdaje się też, a tam jest park, a w parku kawiarnia. Wieczór mamy ciepły, może napijemy się kawy?

Osiągnąłem chociaż tyle, że spojrzała na mnie.

- Czy pan sobie nie za dużo wyobraża?

- Ależ skąd! Może to pani za dużo sobie wyobraża?

Nieoczekiwanie uśmiechnęła się. Mimo ogromnej rezerwy, okazała się wdzięczną rozmówczynią. Byłem pewien, że nie zadaje sobie fatygi, aby udawać, że mnie słucha i rozumie o czym mówię. Lubię kobiecy sposób rozumowania. Dziewczyny na ogół rozumieją każdy szczegół moich wywodów, nie

umieją natomiast pojąć całości. To tak, jakby oglądały każdy piksel monitora z osobna z odległości milimetra, a później próbowały ustawić z tego obraz. A może po prostu nie umiem jasno się wyrażać.

- Zastanawiam się - powiedziała - czy nie kusiłoby mnie na twoim miejscu, żeby zafałszować wyniki badań zgodnie z moim światopoglądem. Jeśli okaże się, że te obrazy są pochodzenia ziemskiego, będzie to bądź co bądź znaczyło, że Boga nie ma.

- Ani trochę. Jeśli animacje są wytworem człowieka, albo zjawiskiem przyrody, to nic nie znaczy. Jakoś przez parę tysięcy lat nie twierdzono, że nieodzownym warunkiem istnienia Boga są cuda.

Nie rozumiem.

- Przez co osiągamy zbawienie, na gruncie filozofii chrześcijańskiej?

Zamyśliła się. Wiem, że to nieuczciwe pytanie, bo nie ma na to jednej odpowiedzi.

- Przez dobre uczynki.

- Nie, Soniu. Przez wiarę i łaskę.

- Faktycznie - przypomniała sobie z lekcji religii i zawstydziała się. Zauważyłem już, że była próżna i nie lubiła pokazywać niewiedzy.

- No właśnie. Czyli przyznasz, że żądanie dowodu na istnienie Boga nie jest zgodne z Jego wolą, raczej jest właściwe temu drugiemu, z dołu.

Skinęła głową.

- A cuda? - spytała na chybił trafił.

- Nie jestem zbyt mocny w filozofii, ale, jak by ci tu wytłumaczyć, mówiąc po prostu, nie wierzę w cuda.

- To, że ty nie wierzysz nie oznacza jeszcze...

- Zaczekaj, daj mi skończyć. Jeśli Bóg jest transcendentny, a zatem istniejący poza poznaniem i poza prawami rządzącymi tym światem, to znaczy, że jego działania również są niepoznawalne, a zatem nie mogą być rozpoznane zmysłowo. Nawet z założenia nie możemy poznać z całą pewnością co jest bezpośrednim dziełem Boga, choć wszystko jest Jego dziełem pośrednio, zgadza się?

- Dalej nie rozumiem, co masz na myśli, mówiąc, że nie wierzysz w cuda.

- Nie wierzę w możliwość istnienia bezpośrednich, mierzalnych dowodów na istnienie Boga, bo po co byłaby potrzebna wiara?

Nie jestem pewien, czy nie zgadzała się ze mną, czy nie rozumiała mnie, tylko to ukrywała.

- Mówisz, że Bóg ma istnieć poza światem, a przecież zakładamy, że świat jest przepełniony Duchem Bożym. Duch Boży jest jedną z trzech osób boskich a więc Bogiem, czy nie tak? - spytała.

- Może i jest przepełniony, ale powiedz mi proszę, co to znaczy „przepełniony”? Czy to znaczy, że istnieje po sąsiedzku jak stronica w książce, czy jednolicie jak kakao w mleku czy może sprawczo, jak, powiedzmy, nieżyjąca już matka w dziecku?

- Nie wiem - odpowiedziała.

- Aha. Czyli nie rozumiesz, co to znaczy, że świat „przepełniony” jest Duchem Bożym?

- No, nie rozumiem.

- Ale wierzysz?

Zmarszczyła brwi. Z całą pewnością nie miała poczucia humoru, i łatwo się obrażała. Na szczęście zrozumiała, że nie wyśmiewam się z niej.

- Rozumiem. Wracamy zatem do punktu wyjścia. Wiara dowodzi istnienia Boga. Czyli co to może, według ciebie, być z tymi zjawiskami w strefie B?

- Też chciałbym wiedzieć. Na pewno nie jest to jednak wysunięty z chmury palec Boży. Wszystko, co wchodzi w interakcję z otoczeniem, musi mieć za podstawę prawa fizyki. Te, które znamy, te, których nie znamy, bądź te, których nie wzięliśmy pod uwagę.

Pokręciła głową.

- A ty wierzysz w Boga? - spytała.

- Ależ wytoczyłaś ciężkie działo - uśmiechnąłem się. - Koniecznie musisz wiedzieć? Odpowiem ci wymijająco. Spróbuj poznać to po czynach, tak chyba będzie bardziej prawidłowo, prawda? A teraz, spytaj mnie, czym się zajmuję.

- Przecież wiem.

- Pokaż dłoń. Tę zdrową.

Wyciągnęła do mnie rękę. Miała delikatne, smukłe dłonie.

- Znasz bajkę o Calineczce?

Skinęła głową. Wyjąłem projektor. Odwróciłem lampion tak, abyśmy byli możliwie najbardziej w mroku i uruchomiłem laser. Westchnęła z zachwytu, kiedy zobaczyła na dłoni świetlisty pąk róży. Kwiat drżał i mienił się, po chwili powoli rozłożył płatki. W środku siedziała małeńka dziewczynka w żółtej sukieneczce. Zamrugła oczkami, ziewnęła, przeciągnęła się i uśmiechnęła do Soni. Poprawiła włosy. Wstała, obejrzała sukieneczkę, strzepnęła ją, ujęła końce i dygnęła, a potem zatańczyła. Westchnęła, ziewnęła, znów ułożyła się do snu z rączkami pod głową. Delikatnie zamknąłem jej dłoń, przełączając jednocześnie pasmo na niewidzialne. Obserwowałem reakcje Soni. Drgnęła i łzy napłynęły jej do oczu. W dłoni czuła ciepło i delikatny ruch wywołany oddechem śpiącego dziecka. Po chwili poczuła, że Calineczka drgnęła przez sen, przeciągnęła się, przewróciła na drugi bok i zwinęła się w kłębek. Wyłączyłem projektor.

- Chcesz zobaczyć więcej? Przywiozłem kilka projektorów.

Cofnęła dłoń. Patrzyła na mnie pogardliwie.

- Nie.

- Znów wyobrażasz sobie za wiele, albo... - uśmiechnąłem się - brak ci wiary.

Zawstydziła się. Całą drogę rzucała mi ukradkiem nienawistne spojrzenia. Weszła do mojego pokoju z miną godną Marii Antoniny wkraczającej na szafot. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego obwinała mnie za niepowodzenia w tamtym związku. Na wszelki wypadek, żeby jej nie płoszyć, wyłączyłem górne światło. Łóżko, które wcześniej wysunąłem na środek pokoju wyglądało jak katafalk. Przysiadła sztywno na brzeжку, odchyliwszy uprzednio pościel.

- Pokaż mi rękę. Nie, tym razem tę skaleczoną. Wyjąłem tęczowy, lekko mieniący się bandaż Fauchety.

Delikatnie rozwinąłem opatrunek, przemyłem świeżą ranę i zabandażowałem jej dłoń. Opatrunek wykonany był z wysyłających światło polimerów i luminescencyjnej, porowatej powłoki silikonowej. Miejsca, w których bandaż dotyka kodu genetycznego bakterii, powinny emitować inne światło niż pozostałe części. Na rękę Soni nie było zakażenia, tęczowe zwoje świeciły równomiernym, delikatnym światłem. Wy tłumaczyłem Soni na czym polegało działanie materiału opatrunkowego.

Pokazałem jej mapę nieba, miasto nocą, rafy koralowe. W pewnej chwili wsunęła dyskretnie rękę do kieszeni. Wprawnym ruchem, nie patrząc na mnie, obrysowała moją sylwetkę. Poznałem, że miała bardzo dobry iluzjon, jeszcze z partii tych legalnych, licencjonowanych, działających do kilkunastu godzin, z możliwością zdjęcia zasłony z obiektu. Wysłała w moim kierunku najsilniejszą porcję mgiełki, pozbyła się mojego widoku co najmniej do rana. Odprężyła się. Teraz dopiero bawiła się dobrze, chętnie uczestniczyła w kolejnych animacjach. Iluzjon działał. Przestała panować nad wyrazem twarzy, coraz smutniejsza. Siedziała z głową lekko zwróconą w moją stronę. Starąłem się nie zmienić tonu głosu. Mówiłem do niej spokojnie i łagodnie, kiedy brałem ją za rękę, kiedy głaskałem jej włosy. Nie przestawałem mówić, może z okrucieństwa, żeby nie mogła tak łatwo zapomnieć, że to ja. Nie cofała się, ale nie zdjęła ze mnie zasłony. Przymknąłem oczy, żeby nie widzieć, jak niechęć wykrzywiła szlachetną linię jej ust. Tak właśnie kochaliśmy się, ona, marząca o kimś innym i ja, niewidzący i niewidzialny.

* * *

Obudziłem się za późno, zdążyła już wyjść do pracy. Nie chciałem narzucać się, w końcu jednak nie wytrzymałem i zadzwoniłem pod pretekstem, że chcę sprawdzić, czy są już wyniki konkursu. Nie chciała spotkać się ze mną dzisiaj, umówiliśmy się na jutro.

Z nudów sięgnąłem po wydruki, byłem jednak zbyt zdenerwowany, żeby pracować. Pomyślałem, że dla zachowania pozorów, pójdę jak gdyby nigdy nic do tutejszego oddziału mojej firmy. Oszczędłem po przyjacielsku, każdemu wolno zmienić pracę, nic nie widziałem, nic nie słyszałem i niczego, ale to absolutnie niczego się nie domyślałem. Prywatne laboratorium optyki nieliniowej „Misa” było trzecim kamieniem milowym w mojej karierze. Działaliśmy na zlecenie potężnej firmy telekomunikacyjnej. Tak to przynajmniej miało wyglądać. Zajmowano się badaniami nad spowolnieniem światła na potrzeby telekomunikacji optycznej. Prędkość światła nie jest nienaruszalną wielkością we wszechświecie. W wodzie zwalnia ono już o jedną czwartą, w diamentcie biegnie dwa i pół razy wolniej. Na przełomie wieków konkurencyjnemu laboratorium udało się zatrzymać światło. Przez chmurę atomów sodu w kształcie cygara, oziębioną prawie do zera absolutnego przepuszczono impuls światła, którego własność zapisana zostawała w stanach kwantowych atomów sodu. Wzbudzano, czyli

niewyobrażalnie zwiększano jego energię. Atomy sodu, wzbudzone ze stanu podstawowego do trzeciego powracają do stanu podstawowego, emitując chaotycznie światło, ale to światło to już nie to światło. Tak, jakby przez frontowe wejście wszedł mąż, a kuchennymi drzwiami wymknął się kochanek. I tu wkraczam ja. Aby zapobiec pochłanianiu impulsu, chmurę atomów sodu oświetla się wiązką laserową o precyzyjnie dobranej przez mnie częstotliwości, wskutek czego dla światła o pewnej innej częstotliwości chmura staje się całkowicie przezroczysta, czyli nie zmienia wiązki spowalnianego światła. Prawie płakaliśmy ze wzruszenia, obserwując jak światło biegnie, zwalnia, zatrzymuje się jak tramwaj na przystanku, po czym rusza znowu.

Zanim jeszcze dołączyłem do zespołu, chłopcy przymierzali się do budowy modelu zjawiska podobnego do tego, które prawdopodobnie zachodzi w pobliżu czarnych dziur. Impuls światła przepuszczony przez kondensat Bosego-Einsteina w stanie z wirami zostaje wciągnięty przez gaz, wygląda to zupełnie jak woda spływająca do rury w umywalce. Impuls światła wirujący po coraz węższym i gęściejszym torze przypominał kształtem miskę do sałatki, stąd nazwa laboratorium. Naukowcy-pragmatycy doszli jednak do wniosku, że czarne dziury czarnymi dziurami, a żyć (i jeść) trzeba i przeszli na badania zastosowań spowolnionego impulsu światła na potrzeby telekomunikacyjne. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało.

Okazało się, że wcale nie dane mi było jeść samotnie. W bufecie siedział nie kto inny, tylko Alfred, popijając koniak. Akurat jego najmniej się spodziewałem i szczerze mówiąc, najmniej ucieszyła mnie jego obecność. Byłem pewien, że widział mnie zeskakującego z balkonu, nie dał tego jednak po sobie poznać. Przywołał mnie ruchem ręki.

- Niech pan się odpręży, młody człowieku. W czasach mojej młodości ponuraków straszono wrzodami żołądka. Pesymiści żyją krócej, pan ma przed sobą świetlaną przyszłość, poza tym co by to była za strata dla nauki... Truizmem będzie stwierdzenie, że wiele rzeczy czeka na odkrycie. Choć wiele zostało już odkrytych, w zaciszu laboratoriów, w tajemnicy przed rządowymi komisjami...

Zrobiło mi się gorąco.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- To ja podejmuję ostateczną decyzję w sprawie składu ekipy. Jeśli moje informacje okażą się prawdziwe, włączę pana do zespołu, ale muszę mieć pewność. Zaczniemy od badania miniaturowych wybuchów termojądrowych w Lawrence Livermore Laboratory...

Odetchnąłem. Kilka dni po podpisaniu układu o zakazie prób z bronią jądrową, prezydent przeznaczył bajońskie kwoty na badanie, nazywając rzeczy po imieniu, nowego rodzaju broni jądrowej. Projekt przewidywał budowę układu laserów, w których wywoływano fuzję jądrową, ten sam proces, dzięki któremu świecą gwiazdy, ale i wybuchają bomby wodorowe. Nie muszę dodawać, że trąbili na cały świat o rozlicznych zastosowaniach pozawojskowych projektu. Odwołano mnie z zasłużonej placówki oświatowej, w której po skandalu z iluzjonem na dwóch kulkach i starym kablu telefonicznym tłumaczyłem dzieciom, że spowolnienie, to też przyspieszenie. Myślałem, że wreszcie rozwinę skrzydła.

- Wykonywaliśmy, jak i teraz, zlecenie rządowe - odpowiedziałem swobodnie - poza tym proszę zwrócić uwagę na fakt, że szukaliśmy nowych metod wytwarzania energii na skalę masową, nie mówiąc już o walorach poznawczych symulacji reakcji jądrowych przebiegających na Słońcu...

- Ależ, oczywiście. Ale w środowisku dostaliście wilcze bilety, czyż nie? Mam panu przypominać co mówiono o wynagrodzeniach laboratoriów państwowych? Że były to łapówki za zgodę na układ o zakazie prób jądrowych. - Nie skomentowałem. Nawet jeśli wiedział o mnie jeszcze więcej, na pewno nie będę ciągnąć go za język. Upił mały łyk koniaku. Przymknął oczy i rozkoszował się przez chwilę słodkim, lekko piekącym smakiem. - Dalej... iluzjony, to był pański wynalazek - stwierdził.

Urwał, czekając aż coś powiem, jednak przetrzymałem go. Wolałem nie myśleć, co się stanie, jeśli nie wezmę udziału w wyprawie. Kilka tygodni temu przejrzałem na oczy. Nie mogłem dłużej udawać, że nie domyślam się nad czym i dla kogo pracuje moja „Misa”. W ostatniej chwili wycofałem się, udając oczywiście, że niczego się nie domyślam. Miałem już serdecznie dość ryzykowania i pracy nie wiadomo dla kogo. Muszę się w końcu zaczepić przy jakimś porządnym, rządowym programie, całkowicie legalnym, wszystko jedno za jakie pieniądze. Jak nie, to skończę w szkole. Jeszcze nie wyrzuciłem kulek i kabla.

- Obala pan kolejny mit, tym razem o naiwności młodych ludzi - westchnął - jest pan przerażająco nieufny.

- Nie chcę niczego panu zawdzięczać - odpowiedziałem, czując, że jestem śmieszny. Alfred był jednak poważny.

- Młodość. Czy to z powodu Soni? Nie odpowiedziałem.

Bardzo męskim ruchem przygładził piękne, szpakowate wąsy. Rozumiem, dlaczego imponował kobietom. Śniadanie do reszty przestało mi smakować.

- Ależ pan jest niemądry - obejrzał pod światło kolor koniaku i westchnął. - Przedstawię panu pewną koncepcję.

- Niczego panu nie obiecuję - odparłem. Ja piłem podane do śniadania mleko i czułem się tym podwójnie upokorzony. - Sonia jest wolną, odważną kobietą. Wolałbym z resztą o niej z panem nie rozmawiać. Dołożę wszelkich starań, aby o panu zapomniała, postaram się przy tym nie zranić jej za bardzo.

- Brawo! A teraz proszę spróbować mnie wysłuchać. Niech pan sobie wyobrazi, że istnieją dwa równorzędne, zsynchronizowane ze sobą światy. Zna pan tę historię z rajem, piekłem i czyścim? Załóżmy, że ten świat, w którym żyjemy, to jest właśnie czyściec. Ktoś urodzony w tamtym świecie po śmierci może trafić do rajku, co nie zdarza się często, do piekła, co zdarza się nawet znacznie rzadziej, a większość trafia tu, do czyścica. Z nadejściem końca świata wszyscy, jak to się tu określa, zmartwychwstają, to znaczy wracają tam, skąd przyszli. I nawzajem, to znaczy ci stąd wracają z tamtego świata, który jest dla nich czyścim, tutaj.

- Również na sąd ostateczny, jak rozumiem? - zauważyłem poważnie.

- Tak jest - odpowiedział, jakby nie zauważył ironii. - Kłopot w tym, że, jak powiedziałem, światy nie istnieją zupełnie równolegle. Strefa B jest miejscem, przez które przechodzi się do tamtego świata.

- Wiem. Nie dalej jak w piątek kilku przeniosło się na tamten świat. Swoją drogą, wcześniej nikt nie... wracał na tamten świat, nie umierał, mówiąc po ludzku?

- Nie słucha mnie pan uważnie. Koniec świata, tamtego, czyli pańskiego świata następuje właśnie teraz. Wszyscy, którzy są z tamtego świata, a tu odbywają pokutę, umierają i przenoszą się z łatwością poprzez tę strefę, w sposób niewidzialny dla Ziemi. Zmartwychwstają do swojego właściwego życia. Proces z tutejszego punktu widzenia niezauważalny. Każdego dnia, każdej sekundy na świecie umierają ludzie. W różnym wieku, różnej płci... Przy pełnej synchronizacji nikt tutaj niczego nie zauważy. Niestety, jak mówiłem, coś zachwiało się w synchronizacji. Obawiam się, że koniec świata tam, nie pokrywa się z końcem świata tutaj, ale to już nie nasze zmartwienie. Nasz problem, to zdążyć zmartwychwstać, zanim strefa się zamknie, i zanim odbędzie się sąd ostateczny.

- Czyli umrzeć?

- Z punktu widzenia Ziemi, tak. Ekipa z zeszłego piątku to przedostatnia grupa zmartwychwstańców. Nie wyobraża pan sobie, jak ciężko było mi ich odnaleźć. Rozumie pan też, dlaczego tak wnikliwie analizuję kandydatury. Nie chcę popełnić błędu. Tak czy inaczej każdy tam dotrze, ale za przyspieszenie tego, i tak nie zawsze naturalnego, procesu, grożą srogie kary, doczesne i wieczne.

Zrobiło mi się zimno. Powoli zaczęło do mnie docierać o czym ten przystojny i elegancki mężczyzna mówi. Wnikliwie analizował kandydatury. Jezusie, Mario i Józefie Świąty! Ciekawe, czy Kuba Rozpruwacz też wnikliwie rozpatrywał kandydatury wybranych kobiet. Swoją drogą w bardzo wyrafinowany sposób pozbywa się rywala! Uśmiechnąłem się smutno. Co ze mnie za rywali

- Rozumiem, że w moim przypadku ma pan pewność - zakpiłem.

- Tak. Rozumiem pana wątpliwości - przyznał wspaniałomyślnie. - Napije się pan czegoś?

Nie odmówiłem. Spojrzał na kelnerkę, ta prawie natychmiast złowiła jego spojrzenie i podeszła do nas z uśmiechem. Ja zwykle czekam na kelnerów w nieskończoność, mimo że gapię się jak ciele, pochrzakuje, nawet kiedy ostentacyjnie zbieram się do wyjścia nikt nie zwraca na mnie uwagi.

- Liczy pan, że wsiądę do tego sterowca wiedząc, że czeka mnie śmiertelny wypadek, jakby pan tego nie nazwał?

- Jeśli pana przekonam...

- To ja już wolę poczekać na swoją naturalną kolej - odpowiedziałem.

Alfred westchnął. Popatrzył pod światło na kolor migdałowego likieru, który postawiła przed nim kelnerka.

- To niemożliwe. Po raz trzeci powtarzam, że nie może pan czekać. Nie ma pełnej synchronizacji pomiędzy tym i tamtym światem i jeśli nie zmartwychwstanie pan teraz, zostanie pan tu na zawsze.

Na zawsze. Prawie wszyscy zdążyli, zostało dziesięciu. Sześciu zdołałem przerzucić w piątek w wyprawie badawczej, o resztę jestem spokojny, tylko pana muszę jeszcze przekonać.

- Jasne. Proszę mi powiedzieć, jeżeli jestem istotą z innego świata, jak rozumiem, zupełnie różnego od tego, to dlaczego wyglądam tak jak wy, myślę, czuję tak samo, wszystkie moje reakcje, system wartości...

- Niech pan uderzy w stół - rozkazał.

- Słucham?

- Uderz w stół.

Z przyjemnością zrobiłem to. Kelnerki spojrzały w naszą stronę.

- No, proszę. Tak jak myślałem, zacisnął pan pięść i rąbnął w stół. Nie wysłał pan fali uderzeniowej, żadnej telekinezy. Rozumie pan do czego zmierzam? Dysponuje pan pewnymi właściwościami fizycznymi, biochemicznymi, zatem, tylko proszę bez obrazy, produkty pańskiego umysłu muszą mieścić się w pewnych schematach.

- Niech pan powie Soni, że produkty jej umysłu są schematyczne - burknąłem. Alfred roześmiał się.

- No, wreszcie się pan rozchmurzył. Do Soni jeszcze wrócimy... - spowaźniał.

- Dlaczego ja? - jęknąłem.

- Pyta pan, po czym pana rozpoznałem? - podjął cierpliwie - Cóż, macie kilka wyróżniających cech, niekoniecznie zresztą takich rzadkich. Jesteście mocno uwrażliwieni religijnie, ze skłonnością do mistycyzmu, a jednocześnie bardzo inteligentni, co zwykle raczej się wyklucza. Rozdzierani przez wątpliwości transcendentne, jesteście też kochliwi, a uczucia lokujecie często bardzo niewłaściwie... no i macie w życiu pecha, bo wbrew temu, o czym wcześniej panu mówiłem, nie myślicie i nie czujecie dokładnie tak, jak pozostali. Co za tym idzie, przeważnie nie osiągacie zamierzonego celu, a skutki waszych błyskotliwych działań są opłakane, a nawet niebezpieczne dla was samych... mam przytaczać przykłady?

- Nie trzeba - wymacałem w kieszeni iluzjon. - Kim są pozostali spóźnieni? - spytałem, żeby dać sobie czas do namysłu. - Wysłał pan sześciu, brakuje o ile pamiętam trzech albo czterech?

Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy zawahał się.

- Niech się pan przygotuje na mocne wrażenia - powiedział poważnie - drugą osobą jest Sonia.

* * *

Przechodnie patrzyli na mnie z niepokojem. Przypuszczam, że zataczałem się lekko. Przyglądałem się ludziom i wydawało mi się, że niektórzy są przezroczyści, niektórzy mają rogi a jeszcze inni skrzydła u ramion. Nie mogłem sobie przypomnieć, dokąd się wybierałem przed śniadaniem. Jak to było dawno! Byłem wtedy zaledwie banalnym Ziemiannym, łatwowiernym naukowcem, zaplątanym, bagatela, w konstruowanie hiperszybkich połączeń komunikacyjnych i urządzeń symulacyjnych dla międzynarodowej sieci terrorystycznej. Też coś! Cóż to znaczy wobec wieczności? - pomyślałem. Wzruszyłem ramionami i tak jak zamierzałem pojechałem taksówką do „Misy”. Przed wejściem do budynku stał niepozorny, ciemnooki mężczyzna. Na pewno nigdy w życiu go nie widziałem, ale on na mój widok prawie otworzył usta. Nie zdążyłem nawet się uśmiechnąć, kiedy padł strzał.

* * *

Ocknąłem się na podłodze w hotelu. Nade mną klęczał Alfred. Jęknąłem. Nie powiem, że wolałbym się nie obudzić, ale na pewno wolałbym, żeby klęczał nade mną ktoś inny.

- Żyjesz, jak widzę - uśmiechnął się z ulgą. Zdjął marynarkę, podwinął rękawy i fachowo opatrywał mi głowę.

- Następny, który chce mi ułatwić zmartwychwstanie? Zdaje się, że jutro nigdzie nie pojedę.

- Nie śmieć się, nie ma z czego. Byłeś o krok od śmierci.

Dotknąłem ręką głowy. Miałem mokre i lepkie włosy, jednego oka nie mogłem otworzyć, prawdopodobnie było sklezione krwią.

- Miałem szczęście. Strzelił mi w głowę.

- Miałeś szczęście, do jutra nie będziesz miał śladu.

- Taki zamachowiec-patałach? - zdziwiłem się.

- Nie - delikatnie podwinął koniec bandaża. - Po prostu takich, jak ty, bardzo trudno jest zabić, właściwie jest to prawie niemożliwe. Już was kiedyś nawet przez to prawie namierzyli. Słyszałeś o sądach bożych? Szukano w ten sposób czarownic, grzeszników, krzywoprzysięzców. Delikwent brał do ręki rozpalone żelazo, a na drugi dzień rękę miał zdrową. Na szczęście ludziom wszystko się pokręciło i sądzili, że źli powinni być poparzeni, a dobrzy nie. Akurat było odwrotnie, bo to nasi oszukiwali, wykorzystując swoje właściwości... Skończone, jutro nie będzie śladu.

- Jeszcze ci się nie znudziło? - spytałem słabo. - Zdajesz sobie sprawę, że mogę cię teraz sprawdzić? Jeśli jutro będę miał zupełnie gładką skórę, bez najmniejszego śladu, bez draśnięcia, uwierzę ci.

- I pojedziesz? - spytał.

- Tak. Pamiętaj, ani draśnięcia - upewniłem się, że użył zwykłego bandaża.

Odetchnął z ulgą.

- Powiedz mi, proszę - spytałem - czy chcesz powiedzieć, że w tutejszym, to znaczy... ziemskim, doczesnym tego słowa znaczeniu, mogę żyć wiecznie?

- No, nie przesadzajmy. Słyszałeś, że z rzeczy wiecznych istnieją tylko wieczne pióro, wieczną miłość i wieczna ondulacja... Ale jesteś nieporównywalnie odporniejszy niż inni. Niektórzy z naszych, na przykład ci, którzy noszą stygmaty, mogą wykrwawiać się i wykrwawiać bez końca, inni przeżywają upadki z wielu pięt... słyszałeś pewnie nieraz, że „cuda” się zdarzają. Ale rzecz jasna każdego da się uśmiercić. Wtedy po prostu odradza się w innym ciele. Niektórzy z tamtych poczuli pismo nosem i określili to jako reinkarnacja, narosła wokół tego cała mitologia.

- A kiedy wreszcie któryś umrze, czyli zmartwychwstanie, czy jak tam chcesz, to znaczy, że osiągnął nirwanę?

- Tak to nazywają. To nieprawdopodobne, ale my i ludzie, potrafimy się do pewnego stopnia rozpoznać. Do bardzo niewielkiego stopnia, oczywiście.

Przymknąłem oczy.

- Jeszcze jedno pytanie. W takim razie, musisz to wiedzieć, czy istnieją cywilizacje pozaziemskie?

- Gdzie? - spytał zaskoczony.

- No... w kosmosie.

Alfred popatrzył na mnie z uśmiechem, jak na dziecko, które zadaje głupie pytanie. Założył już marynarkę i stał przy drzwiach, lekko oparty o futrynę, bywalec elegancki hoteli w stylu retro.

- Rozczarowałeś mnie jako naukowiec. Jeśli mówimy już o innych cywilizacjach tego wymiaru, wyobraź sobie, że nawiązałeś kontakt z istotą z Marsa i pytasz ją o co? Czy w biurze po drugiej stronie ulicy siedzi cię na stróżówce. Jakiej odpowiedzi byś oczekiwał? Że jest, że nie ma, że jest, tylko poszedł po papierosy, że wczoraj zmarł... A skąd ja mam niby wiedzieć o innych istotach z tego wymiaru i co mnie to obchodzi?

- Proszę cię, zostaw mnie już samego. Jeśli dłużej będziesz mnie męczył, oszaleję. Powiedz mi tylko, proszę, jeśli się nie zgodzę, nie wsiądę jutro na ten statek samobójców, co się stanie? Będę żył tu wiecznie do naturalnej śmierci... czy do czego?

- Do czego - nie wiem. Może ten świat istnieć będzie wiecznie. Może był już wcześniej zsynchronizowany z jeszcze innym światem i ci, którzy tu są, to potępieńcy z tego poprzedniego. Może wreszcie Ziemia jest zgrana z wieloma innymi światami, nas interesują tylko nasi, pozostali pokutują tu do czasu aż u nich będzie sąd ostateczny. Tak też może być, prawda? Tego nie wiem. Ale ty nie zdążysz już na nic. Zostaniesz tu na wieczność. I to będzie twoje piekło.

* * *

Z niedowierzaniem przeglądałem się swojemu odbiciu w lustrze. Żadnej blizny, żadnego śladu, nic. Była czwarta rano, o tej porze człowiek gotów jest uwierzyć we wszystko. Nawet, jeśli to, co Alfred naopowiadał mi wczoraj było kłamstwem, to niewątpliwie moja rana postrzałowa zablizniła się w sposób niewytłumaczalny. A może - pomyślałem - ja wcale nie zostałem postrzelony, tylko zasugerowano mi to zdarzenie? Odrzuciłem taką możliwość. Jeśli mógłby zasugerować mi tak głęboki uraz, tym bardziej mógł sprawić, że uwierzyłbym we wszystko co tylko zechciał. Poza tym, dlaczego również Sonia?

Wyszedłem z hotelu. Szary przedświt sprawił, że poczułem jakbym pojawił się za wcześnie, jakby świat miał zacząć istnieć dopiero za kilka godzin. Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Niczego poza tym jeszcze nie było, a Duch Boży unosił się nad wodami... W tamtej chwili zrozumiałem co

znaczy, że na początku było Słowo. Jako dziecko, wydawało mi się, że tym słowem jest „Bóg”, albo „Miłość”, albo „Zbawienie”. Teraz już wiem, że Duch Boży był słowem „Jeszcze”. Był możliwością, a może nieuchronnością dalszej kreacji. Były już niebo i ziemia i była przyszłość, której wcześniej nie było, bo nie było czasu. To co już istniało przepełnione było Duchem Bożym, kreacją, oczekiwaniem na to, czego jeszcze nie ma. Jeśli czegoś nie ma, to nie ma, a jeśli czegoś jeszcze nie ma, to znaczy, że jest...

Wyciągnąłem telefon i ustaliłem adres Soni. Zajechałem taksówką pod jej dom. Stałem się od wczoraj rozrzutny, zwłaszcza, że dla taksówkarza, mimo że było już całkiem widno, taryfa nocna obowiązywała niewzruszenie, jakby dnia nigdy miało nie być. Sonia wpuściła mnie od razu, była całkiem ubrana, bez śladu snu na powiekach. Pokój, do którego weszliśmy, wyglądał jak akwarium. Wszystkie ściany były zawieszane kwadratowymi obrazami w chłodnych, niebieskich i szarych kolorach. Pachniało terpentyną i innymi chemikaliami, których nie potrafiłem rozpoznać. Sonia usiadła na podłodze z brodą podpartą na podkulonych kolanach.

- To ty malowałaś? - zagałem.

Skinęła głową.

- Ładne - powiedziałem - smutne. Nie odpowiedziała. Podszedłem do ściany. Obrazy przedstawiały ludzi: kobietę pochyloną nad kuchnią, mężczyznę siedzącego w fotelu z gazetą, dziewczynę przy komputerze. Wrażenie przebywania w akwarium pogłębiło się. Nie tylko z powodu kolorów, ale wszystkie obrazy były jakieś nieme, jakby postaci zostały utrwalone w momencie, kiedy zamarły, bo ja wiem, może z przerażenia, może na jakiś nieoczekiwany widok, który nie został utrwalony na obrazie.

- Coś nie tak? - spytała we właściwy sobie zaczepno - obronny sposób.

- Nie, tylko... wszystkie takie kwadratowe, żeby łatwiej było przewieszać?

Pokręciła głową.

- Żeby łatwiej mi było uchwycić proporcje. Mam astygmatyzm. Soczewka mojego oka wydłuża obraz.

- Zupełnie tego nie widać. To znaczy, że starasz się malować wszystko grubsze i szersze niż widzisz?

- Nie. Oglądałeś obrazy El Greco? Wszystko wydłużone, wyciągnięte. Kiedyś próbowano wytłumaczyć ten fenomen wadą wzroku jak moją. Było to oczywiście naiwne. Maluję tak jak widzę, rozumiesz? Dla mnie obraz namalowany i model wyglądają tak samo. Jeśli maluję jabłko, to staram się, żeby jabłko na obrazie i to na stole były identyczne, to znaczy dla mnie oba wyglądają raczej jak gruszki. Ty będziesz je widział jako okrągłe.

Skinąłem głową. To jeszcze niczego nie dowodzi - pomyślałem.

- Poczęstujesz mnie kawą? Może być w szklance do long-drinków - uśmiechnąłem się. Sonia cichutko jak kot weszła za barek.

- Rozmawiałem dzisiaj z twoim przyjacielem, z Alfredem - zacząłem. - Rozmowa zawodowa - dodałem pośpiesznie. - Mam jutro lecieć do strefy B.

- Znał już wyniki konkursu? - spytała obojętnie. Spróbowałem inaczej.

- Ufasz mu?

- Nie zaczynaj. Nie wiesz jakim jest człowiekiem, czasem wydaje się cyniczny, ale to przez to, że wiele w życiu przeszedł, dużo widział i wie. To, że teraz pracuje byle gdzie, niczego nie dowodzi. On jest zupełnie inny niż wszyscy. Nie patrz w ten sposób, bo cię wyproszę. W czasie wojny był bardzo ciężko ranny w płuco i w głowę, cudem przeżył...

- W czasie jakiej wojny, na Boga?

- W Sudanie. Najpierw był reporterem... ale ciebie to nie obchodzi, zresztą on się nie chwali...

- To ostatecznie też niczego nie dowodzi - mruknąłem. Sonia naburmuszyła się.

Dopiłem kawę.

- Do zobaczenia. Myślę, że zobaczymy się jeszcze dzisiaj powiedziałem.

* * *

Pokojówka przyniosła mi wiadomość, że zostałem zakwalifikowany do grupy badawczej. Miałem stawić się w wyznaczonym miejscu o siódmej rano, czyli za niecałą godzinę. Położyłem się na łóżku, na poplamionej krwią pościeli. Włączyłem animację wstęgi Moebiusa z mrówką wędrującą poprzez

dwa światy. Potem wyszedłem z hotelu, wziąłem taksówkę i pojechałem na miejsce odlotu. Alfred i Sonia już na mnie czekali. Przedarliśmy się w błyskach fleszy przez tłum dziennikarzy. Na trybunach ani na telebimach nie zauważyłem żadnej ważnej osobistości. Oczywiście, po piątkowej katastrofie wszyscy umyli ręce i nikt nawet nie chciał znaleźć się w kadrze przy kręceniu materiału filmowego albo robieniu zdjęć. Wskoczyłem do kosza jako pierwszy, tuż za mną weszła Sonia. Starłem się nie patrzeć na nią. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby Wiedzieć, że Alfred nie musiał się wysilać, by ją przekonać do wyprawy. Gdyby kazał jej skoczyć w ogień, zrobiłaby to bez wahania. Zagryzłem wargi. Alfred stał na trapie, dumny jak kapitan okrętu.

- A gdzie pozostali członkowie wyprawy? - spytałem. Alfred wskoczył z wdziękiem do środka.
- Nie domyśliłeś się? Nie ma nikogo więcej, tylko my.
- Ty też - zbaraniałem. - A... czwarty?
- No, ten to się załapał naprawdę w ostatniej chwili - odpowiedział chytrze Alfred. Zachichotał i zatarł ręce - masz prawo nie wiedzieć. Sonia jest w ciąży.
- Oboje krzyknęliśmy.
- Od kiedy? - spytałem głupio.
- Dżentelmen nie zadałby tego pytania - wyszczerzył w uśmiechu piękne zęby. - Od przedwczoraj, powinieneś pamiętać.
- Odpalaj! - zawołał w dół.

Małgorzata Burzyńska